

# BARDZO DŁUGI MARZEC

## FRAGMENTY

Powieść ukaże się 9 lutego b.r. nakładem Wydawnictwa LIRA.

### ŻYDOWSKI BĘKART

*13.01.1968, sobota.*

Dochodziła siódma, Adam szykował się do wyjścia. Matka robiła coś w kuchni, ojciec jeszcze nie wrócił z pracy. Dzwonek do drzwi. Natarczywy – jeden, drugi, trzeci. Poszedł otworzyć. Kolejny dzwonek. Długi. Wkurzył się. Odemknął zasuwę, otworzył drzwi.

- Co jest?! Pali się?!
- Rodzice w domu?

Oniemiał. Przed nim stała matka Ani. Zapamiętał ją, jako taką starszą wersję Ani, nadaktywną, sympatyczną panią domu. Teraz nie sprawiała wrażenia sympatycznej. Ściągnięta, jakby skurczona twarz okutana chustką ze sztucznego jedwabiu, złe oczy, wąskie, zaciśnięte wargi. W obu dłoniach ścisnęła kurczowo tandetną torebkę.

- No co tak stoisz?! Wołaj rodziców!

Nie musiał wołać. Mama wyszła z kuchni, stała w korytarzu.

- Pani Bogusia... Dzień dobry.
- Żadna Bogusia! Barańska jestem Tak w korytarzu będziemy rozmawiać?
- Nie, oczywiście, proszę. - Mama gestem zaprosiła ją do środka. - Adam, odbierz od pani płaszcz.
- Nie trzeba. Długo nie posiedzę.

Poszła za mamą do dużego pokoju. Adam za nimi. Jak na ścieżce...

Barańska usiadła na brzeжку krzesła, torebkę położyła na kolanach. Wciąż ścisnęła ją kurczowo obiema dłońmi.

- Napije się pani kawy? Herbaty? - Mama była niespokojna, już wiedziała, że to nie jest towarzyska wizyta.
- Nie przyszedł tu na kawę! Powiedział pani?
- Nie rozumiem... Kto?
- No pani chłopak. Powiedział?

- O czym?
- Że zrobił mojej Ani dziecko.

Mama zbladła, usiadła ciężko na krześle. Adam zachwiał się, oparł o kant stołu. Wzrok wbił w podłogę.

- Ale jak to...?
- A tak to! Zaciążył dziewczynę, a teraz rżnie głupka!

Nawet nie spojrzała na Adama. Patrzyła przed siebie, gdzieś w ścianę pomiędzy Adamem a jego mamą. Mama była w szoku, nie potrafiła zebrać myśli.

- A Ania...? Chce urodzić to dziecko?
- Ania ma chodzić do szkoły, maturę zrobić, a nie hodować jakiegoś bachora. Ja tam żydowskiego bękarta w domu trzymać nie będę!

Niczym nagły mróz. Jakby dała im w twarz. Mama patrzyła na nią w osłupieniu. Żadne z nich nie zauważyło, kiedy w drzwiach pokoju stanął ojciec Adama. Wszyscy drgnęli nerwowo, kiedy się odezwał. Cicho, spokojnie.

- Proszę nie podnosić głosu.

Barańska jeszcze mocniej zacisnęła wargi. Spojrzała na niego hardo.

- Będę mówić, jak mi się podoba!
- Nie w moim domu.

Cisza. Wrogie milczenie. Wreszcie mama.

- Ale czego pani od nas oczekuje?
- Trzy tysiące!
- Co „trzy tysiące”? - Mama nie skojarzyła.
- No przecież że skrobanka.
- Ania mówiła, że dwa. - Po raz pierwszy wtrącił się Adam.
- Dwa to było w zeszłym tygodniu! A teraz czwarty miesiąc się zaczął, nie każdy lekarz się zgodzi. A ja byle komu nie dam dziecka na zmarnowanie! Trzy tysiące!

Ojciec przeszedł przez pokój, zamknął się w swoim gabinecie. Wrócił po chwili. Bez słowa położył na stole przed Barańską sześć banknotów pięćsetzłotowych.

Przeliczyła je uważnie, schowała do torebki.

- No! - Spojrzała wokół triumfalnie. Na dłużej zawiesiła wzrok na Adamie. - A ty nawet nie próbuj zbliżyć się do Ani! Bo tym razem to mój Stanisław inaczej z tobą porozmawia! Jeśli ci wtedy było mało...

Ojciec spojrzał na Adama. Dopiero teraz zrozumiał, co się wtedy stało, dlaczego jego syn wylądował w szpitalu, w sanatorium. Adam nigdy nie widział w jego oczach takich iskier. Zniknęły po chwili. Tylko pięści miał wciąż zaciśnięte, mocno, do bólu. Ale mówił tak, jak poprzednio, cicho, spokojnie, stanowczo. Dwa słowa.

- Proszę wyjść.
- A pójde, pewnie, że pójde! - Wstała, zacisnęła dłonie na rączce torebki. Zatrzymała się w drzwiach. - A pan wiceminister to niech nie będzie taki hardy! Kończy się wasze panowanie!

Stukot jej butów, trzaśnięcie drzwi, cisza.

Przez chwilę trwali w bezruchu, w milczeniu. Nagle mama poderwała się z krzesła, podbiegła do okna, otworzyła na oścież. Wychyliła się, z całych sił zaczerpnęła powietrza. Jakby dopiero teraz mogła znowu oddychać...

## **TOLO PARTYZANT**

*Fantazja* na Grójeckiej była jedną z tych nowych kawiarni, w stylu, który na pewno się jakoś nazywał, choć Tolo nie miał pojęcia jak. Plastik i aluminium, nieprzytulnie i niewygodnie. Tolo rzadko tu przychodził. Już naprawdę nigdzie w pobliżu musiało nie być piwa, żeby tu zajrzał. Tym razem nie miał wyjścia. Przyszedł kilka minut przed czasem. Nie bardzo wiedział, co zamówić, na kolejną kawę nie miał ochoty, nie wiedział, czy może wziąć piwo. W końcu to miało być niby takie służbowe spotkanie. Na szczęście kelnerka dała mu dużo czasu do namysłu. Tolo był jedynym nowym klientem, ale głupiej krowie i tak nie chciało się podnieść dupska i podejść do niego. No i dobrze!

Porucznik Domagała spóźnił się prawie kwadrans. Tolo nigdy go nie widział, ale rozpoznał ubola od razu. Niewysoki, krępy, w jesionce w jodełkę i tyrolskim kapelusiku. „Te jesionki, to chyba im z przydziału dają. Równie dobrze mógłby przyjść w mundurze.” - Tolo jakoś nie poczuł do niego sympatii. Porucznik nawet się nie rozejrzył po sali, od razu podszedł do jego stolika.

- Sie masz partyzant! A co ty tak o suchym pysku siedzisz?

Tolo już chciał odburknąć, że krów razem nie pasali, ale w porę przypomniał sobie przestrożę dzielnicowego, powstrzymał się.

- Kelnerka jeszcze nie podeszła.

Niczym wywołana kelnerka ciężkim truchtem podbiegła do ich stolika. Może jednak wcale nie była taka głupia...

- Kochanieńka, daj nam dwa winiaki luksusowe i dwie kawy. Tylko migusiem kochana, migusiem!
- Duże?
- A co to my dzieci jesteśmy? Jasne, że duże! Winiaki też daj podwójne. Ziąb taki, że mi jaja dzwonić zaczęły.

Miał ubol gest. Nie za swoje przecież. Kelnerka oddaliła się „migusiem”. Porucznik rozdział się z jesionki, rzucił ją na krzesło. Kapelusik też. Rozsiadł się, wlepił wzrok w Tola.

- Więc ty jesteś ten Tolo Partyzant. Fajna ksywka. Teraz dobre czasy dla partyzantów.
- Jaki tam ze mnie partyzant. Łapy nie mam, to tak mnie przezwali.
- Ale tę łapę to ci faszyści ujebali, nie? A ci dzisiejsi partyzanci, szkoda gadać. Tak między nami, to większość w życiu lasu nie widziała. Ale cwaniaczki wiedzą, gdzie są konfitury, nie?

Kelnerka postawiła na stoliku dwie kawy w szklankach i pękate kieliszki z winiakiem.

- To przynieś od razu dokładkę, wiesz, żebyś dwa razy nie chodziła. - Ubol puścił oko do kelnerki, ta odeszła pospiesznie. - No to, żeby nam się!

Uniósł kieliszek, stuknęli się. Tolo ledwo umoczył usta, Domagała wypił do dna.

- Co z tobą?! Chory jesteś?
- Nie... Tylko taki winiak to nie bardzo tak na raz.
- Pij, nie pierdol!
- No chyba, że tak. - Tolo jednym haustem wychylił winiak. Skrzywił się, popił kawą.
- No i co się, kurwa, tak krzywisz?! Ludowa ojczyzna stawia, a ty marudzisz?!
- Ja tam prosty człowiek jestem. Gardło nie zwyczajne takich luksusów.
- A teraz dobrze mówisz, Tolo. My doceniamy prostych ludzi, potrzebujemy prostych ludzi. No gdzie jest ta baba?! Opierdala się?! Ja jej się zaraz poopierdalam!

Niecierpliwym gestem przywołał kelnerkę. Podbiegła natychmiast, przyniosła dwa winiaki.

- Co to, kurwa, jest?!

- No winiak luksusowy, zamawiał pan...
- Podwójny mówiłem! Zabieraj to, ale już! Migusiem!

Przerażona kelnerka zabrała winiak, pobiegła do bufetu. Po chwili wróciła. Wolniej – na tacy niosła wypełnione niemal po brzegi kieliszki. Ostrożnie postawiła je na stoliku, wycofała się.

- No! Teraz lepiej! W tym kraju bez bata nie da rady. Więc widzisz Tolo, to ja jestem ten bał, żeby była jasność. Wypijmy.

Wypili. Tolo milczał. Czekał aż ubol przejdzie wreszcie do rzeczy. Przeszedł.

- No to jak ci się żyje Tolo?
- Nie narzekam.
- No i bardzo dobrze! Nie lubimy takich, co narzekają. Ale zawsze mogłoby być lepiej, prawda?
- No tak...
- Albo gorzej. Dużo gorzej.
- Też prawda.

Domagała pstryknął palcami na kelnerkę. Zrozumiała. Nowe kieliszki były wypełnione po brzegi. Ubek nawet na nią nie spojrzał. Wpatrywał się w Tola. Bez uśmiechu.

- Domagała jestem. Porucznik. I widzisz Tolo, jak ktoś z Domagałą dobrze, to Domagała dobry dla niego, ale jak ktoś źle z Domagałą, to nie ma, kurwa, przebaczyć! Rozumiemy się Tolo?
- Chyba tak...
- Jakie, kurwa, chyba?! Rozumiemy się, czy nie?!
- No tak.
- No i bardzo dobrze! Wypijmy.

Wypili.

- Ty Tolo dobry Polak jesteś, katolik.
- Ja tak tylko...
- Nic nie mów Tolo, Domagała wie, Domagała wszystko wie. My teraz nic nie mamy do katolików. Już lepszy Polak katolik, niż jakiś taki pejsaty, co to go kozikiem chrzcili. Dobrze mówię?

Tolo chrząknął wieloznacznie. Ubol przyjął to za dobrą monetę.

- U ciebie w kamienicy mieszkają tacy niby-Polacy...
- Tak?

- Nie rznij głupa Tolo, dobrze wiesz, o kim mówię!
- No nie bardzo. Ja tam tylko sprzątam.
- Nie pierdol mi tu Tolo! Kto ma coś wiedzieć o lokatorach, jak nie cieć?
- Wy?

Domagała spojrział zimno na Tola, przez dłuższą chwilę mierzył go groźnym wzrokiem. Tolo struchlał. Niespodziewanie ubol nachylił się przez stolik, trzepnął Tola w ramię i zaczął się śmiać.

- Dobrze! Nie, no naprawdę dobrze! Ty wcale nie jesteś taki głupi Tolo! Jeszcze będą z ciebie ludzie! - Nagle urwał śmiech. - No dobra, Sanderowie. Starzy i ten młody, jak mu tam?
- Adam.
- No właśnie. Zaprzyjaźnisz się z młodym, piwo mu postawisz.
- Z mojej pensji to nie bardzo.
- Pomożemy. Chcę wiedzieć, kto tam do nich przychodzi, z kim kombinują.
- Ja tam się na tym nie znam.
- No to się poznasz. Aha, sprawdzisz, czy oni tam w piątce świece palą.
- Ale po co? To już świec nie wolno palić?
- Wolno, nie wolno nie twój zasrany interes. Masz sprawdzić i już. Zrozumiano!
- Ale jak niby mam to sprawdzić?
- A to już twój zasrany interes, coś wykombinujesz. Podpisz.

Ubol podsunął mu kartkę i długopis.

- Ale że co?
- Śmo! Podpisz i nie marudź! Myślisz, że za frajer ludowa ojczyzna winiak ci funduje? Luksusowy, nie wymawiając. Że o kawie nie wspomnę. Ksywkę już masz. Raporty będziesz podpisywał „Partyzant”, zrozumiano?
- Ale jakie raporty?
- Śmakie! Nie rznij głupa Tolo, bo się pogniewamy! Jeszcze po jednym?

Nie czekając na reakcję Tola skinął na kelnerkę. Przybiegła, przyniosła.

- Podpisujesz, czy nie?
- No nie wiem... Ja tam się do polityki nie mieszam.
- Ale polityka miesza się do ciebie Tolo, takie życie. Jak nie podpiszesz, to będzie znaczyło, że to jest prywatne spotkanie i za swoje będziemy musieli za te luksusy płacić. To będzie na każdego... - Domagała udawał, że liczy w

pamięci. Tolo nawet nie musiał liczyć, wiedział, że nie ma przy sobie takiej kasy.

- Ale ja nie mam.
- To podpisuj, kurwa! I nie pierdol!

Tolo podpisał. Niechętnie. Ale to już nie miało znaczenia. I diabeł i Domagała mieli w dupie, czy delikwent chętnie, czy niechętnie podpisuje cyrograf. Krwią, czy atramentem. Ważne, żeby był papier!

- Tylko nie myśl sobie Tolo, że zrobisz Domagałę w chuja! Że niby coś tam podpisałeś, ale i tak się jakoś z tego wymigasz. Nie wymigasz się. Nie tacy próbowali. Za tydzień chcę mieć raport. Tutaj, o tej samej porze.
- Ale...
- Żadne, kurwa!, ale! - Ubol sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął plik czerwonych banknotów. Odliczył pięć, położył na stoliku. - Pokwituj zaliczkę.
- Ale za co to?
- Za dobre chęci. Ludowa ojczyzna płaci to bierz i nie gadaj! No! Żeby nam się!

Tolo pokwitował. Wypili. Kolejnego winiaku Domagała nie zamówił. Wstał, włożył jesionkę i kapelusik, pochylił się nad Tolem.

- Tylko nie kombinuj Tolo! Bo wiesz, jak to mówią: z chujem, z prądem i z Domagałą żartów nie ma!

Ubol podszedł do kelnerki, uregulował rachunek. Kwit złożył starannie, schował do kieszeni. Pomachał przyjaźnie Tolowi, wyszedł.

Tolo został. We łbie mu szumiało, chciało mu się rzygać. Nie tylko od tego luksusowego winiaku.

## **ŚWIĘTO KOBIET**

*8.03.1968 rok, piątek.*

13. 22

Nie widzieli się od czterech dni, od tamtego poniedziałku. Nie miał ochoty dzwonić do akademika, przedzierać się przez gburowatą portierkę. Ona też nie zadzwoniła. Nie chciał, żeby tak się skończyła ta znajomość. Dzisiaj były jej imieniny. Postanowił

zrobić jej niespodziankę. Urwał się z wufu, wukadką dojechał na Plac Zawiszy. Zabrał ze sobą aparat. Beata na pewno się ucieszy z prywatnej sesji. Dziewczyny lubią być fotografowane.

W kwaciarni była kolejka. Wiadomo, Dzień Kobiet. Odstał swoje, kupił siedem czerwonych róż.

W sto siedemdziesiątce piątce był tłok, z trudem obronił kwiaty przed zgnieceniem. Wysiadł na Krakowskim, przed Uniwersytetem. Brama była zamknięta, a na chodniku stała spora grupa jakichś dziwnych osobników w kaszkietach i jednakowych jesionkach. Śpieszył się, nie zwrócił na nich specjalnej uwagi. Na Traugutta, małej uliczce na tyłach Wydziału Filozofii stał sznur autobusów. Pomyślał, że znowu „lud wszedł do Śródmieścia”. Pamiętał ten wiersz Ważyka, jakaś aktywistka recytowała go w zeszłym roku na jednej z akademii ku czci.

*„Patrz, jak stoi uparta  
na rusztowaniach partia!”*

Nawet nie przyszło mu do głowy, że to rzeczywiście „uparta partia” stoi przed bramą Uniwersytetu. Chociaż tym razem nie na rusztowaniach. Myślał, że to wycieczka z przodujących zakładów pracy. Do pewnego stopnia miał rację. Coś dużo dzisiaj tych wycieczek. Pewnie z okazji Święta Kobiet. Gdyby przyjrzał się uważniej pasażerom tych autobusów, zorientowałby się natychmiast, że to nie przodowniczki pracy socjalistycznej w nich siedzą.

Tolo Partyzant wysączył ostatnie krople kawy, odstawił na spodek szklanek z fusami. Magda spojrzała na niego pytająco. Mówiąc prawdę nie miał pomysłu. Pogoda nie była spacerowa, było zimno, siąpił deszcz ze śniegiem. Mimo to z Dworca Gdańskiego na Nowe Miasto doszli piechotą. Magda chciała rozprostować nogi po półtorej godziny jazdy elektrycznym. Tolo nie miał nic przeciwko. Ważne było tylko to, że ona jest z nim, że ujęła go pod rękę, że szli sobie tak, jakby byli parą. Może naprawdę nią byli...?

Od półtorej godziny siedzieli w *Bombonierce* na Rynku Nowego Miasta. Wypili kawę, zjedli po wuzetce i nie bardzo wiedzieli, co dalej. Tolo najchętniej zaprosiłby ją do siebie, ale wiedział, że na to za wcześnie, że może wieczorem...

- To na co masz ochotę?
- Sama nie wiem. Na pewno nie na spacer. Dosyć przemarzałam, jak tu szliśmy.
- To może kino?



– A co grają?

Obok szatni wisiały gazety przymocowane do ciężkich, drewnianych uchwytów. Poderwał się, przyniósł Express i Życie Warszawy. Naprzeciw kawiarni, po drugiej stronie Rynku było kino Wars. Może tam będzie coś ciekawego. Ale najpierw zrobi jej kilka zdjęć. Przy studni na Nowomiejskim Rynku i może jeszcze przed kościołem Świętego Kazimierza, na dobrą wróżbę.

13.47

Adam doszedł do bramy Uniwersytetu i nagle znalazł się na planie jakiegoś wojennego filmu. Po prawej stronie głównej alei stały autobusy. Faceci w jesionkach wlekli do nich wrywających się studentów. I studentki. Studentek było chyba więcej. Opierających się bili krótkimi, czarnymi pałkami. Adam przez chwilę naprawdę myślał, że trafił na plan zdjęciowy. Tyle, że nigdzie nie było kamery, reflektorów, ekipy. Przez chwilę rozglądał się zdezorientowany. Z bukietem róż w dłoni w samym środku tego zamieszania musiał wyglądać idiotycznie. Przypomniawszy sobie, że przecież ma aparat. Wyciągnął go ze skózanego etui, zaczął robić zdjęcia. Nawet nie przyszło mu do głowy, że zachowuje się idiotycznie, że za chwilę któryś z napastników zorientuje się i... Nagle zamarł, wydawało mu się, że rozpoznaje jednego z tych facetów. Właśnie wrzucił do autobusu jakąś dziewczynę, przyłożył jej pałką po plecach. Nie, to chyba niemożliwe! Facet odwrócił się, zdjął kaszkiet, przetarł spocone czoło. Ojciec Ani! Stali kilkanaście metrów od siebie. Ich spojrzenia spotkały się. Adam odruchowo podniósł aparat, nacisnął spust migawki. Dopiero później odwrócił się, zaczął biec w stronę biblioteki uniwersyteckiej. Za sobą słyszał ciężki tupot buciorów. Slalomem wymijał grupki mężczyzn z pałkami. Ojciec Ani wrzeszczał.

- Łapcie tego z aparatem! Łapcie skurwysyna!

Nie złapali. Minął gmach biblioteki, alejką obok Studium Afrykanistycznego dobiegł do placu przed Rektorem. Cały teren wypełniał tłum studentów otoczony kordonem tych dziwnych facetów. Adam przyspieszył, roztrącił kordon, wbił się w tłum. Odetchnął z ulgą, był bezpieczny. Tak mu się przynajmniej zdawało. Studenci coś skandowali, nie zrozumiał co. Z trudem dochodził do siebie. Nie wiedział, nie rozumiał co tu się dzieje. Pewnie dlatego nie zareagował, gdy niespodziewanie ktoś krzyknął.

– Studenci siadać!

Studenci usiedli. Stali nadal tylko ci faceci w jesionkach. I Adam. Z aparatem fotograficznym, z bukietem róż, w samym środku siedzącego tłumu. Wydawało mu się, że wszyscy na niego patrzą. I z jednej, i z drugiej strony. I pewnie tak było. Chciał natychmiast usiąść, nie miał gdzie. Siedzący najbliżej patrzyli na niego nieufnie, nie mieli zamiaru zrobić mu miejsca. Uratowała go Beata.

– Adam!!!

Dostrzegła go, wstała, zaczęła przedzierać się przez siedzący wciąż tłum. Siedziała bliżej Pałacu Kazimierzowskiego, dobrnięcie do Adama zajęło jej dobrych kilka chwil. Studenci zaczęli wstawać.

– Co ty tu robisz?

– Chciałem... No wiesz... - Jąkał się, nie mógł zebrać myśli. - Dzisiaj twoje imieniny... - Zaczerwienił się, wręczył jej różę.

– Też sobie moment wybrałeś! I co ja mam z tym teraz zrobić?

– No i dzień kobiet. - Dodał jakby na usprawiedliwienie.

Rozczulił ją. Zarzuciła mu ramiona na szyję, pocałowała. Zaczerwienił się jeszcze bardziej. Zegar na bibliotece wybił drugą. I rozpętało się piekło.

Jakby na komendę faceci w jesionkach ruszyli do ataku. Nie wiadomo kiedy wzmocniły ich regularne oddziały milicji. Ale bili głównie cywile. Ostro bili. Nagle wokół Adama i Beaty zrobiło się pusto. Studenci rozbiegli się we wszystkich kierunkach. Scena rozpadła się na dziesiątki obrazów. Miały pozostać w nim na zawsze.

Dwóch bandytów skacze po brzuchu leżącej na plecach dziewczyny. Kilku studentów podbiega, próbuje odciągnąć napastników, ci zaczynają bić ich na oślep. Chłopak w zielonej kurtce bierze dziewczynę na ręce, wynosi ją z pola walki. Skurwysyny w jesionkach ruszają za nim, okładają go pałkami po plecach. Chłopak chwieje się, zatacza, ale wciąż idzie z nieprzytomną dziewczyną na rękach. Tamci za nim.

Profesor, starszy człowiek z łańcuchem dziekańskim na piersiach próbuje powstrzymać masakrę, słyszy „spierdalaj!”, dostaje pałką po plecach.

Trzech skurwysynów łapie studentkę w widocznej ciąży. Dwóch przypiera ją do muru, trzeci bije pałką po twarzy, po głowie.

Adam rozgląda się, ojca Ani nie widzi. Widocznie bije gdzie indziej. Robi zdjęcia.

Beata ciągnie go za rękę, biegną. Przy schodach Studium Afrykanistycznego stoi, stania się drobny blondynek w lichym płaszczku. Biję go pięciem. Czarnymi, krótkimi

pałkami. Po głowie. Po twarzy blondynka spływa krew. Chłopak powtarza z bezgranicznym zdumieniem: „Polacy, ludzie, nie bijcie, Polacy!” Stoi podtrzymywany ciosami. Adam przystaje, robi zdjęcie. Zbliżenie twarzy chłopaka. Beata krzyczy przeraźliwie: „Tomek!” To jej znajomy z roku. Wali jednego z oprawców różami w twarz. Ten odwija się, bije pałką. Któryś kopie ją w brzuch. Adam rzuca się na niego. Biją go, kopią. Beata krzyczy coś, Adam nie rozumie co. Skatowany chłopak z niedowierzaniem przygląda się swoim zakrwawionym dłoniom. Od strony Rektoratu nadbiega grupa studentów goniona przez milicjantów w bojowym rynsztunku. Roztrąca bandytów, porywa ze sobą chłopaka, Beatę, Adama. Dobiegają do Instytutu Romanistyki. Schodami w dół do suteryny, schodami w górę do wyjścia na Oboźną. Gubią pogoń.

Akcja zwalnia. Czas znowu płynie linearnie.

Na ulicy było spokojnie. Jeszcze. Studenci pobiegli w stronę Krakowskiego. Adam i Beata przeszli na drugą stronę Oboźnej, obolali, ledwo żywi przysiedli na murku. Beata skuliła się, ukryła twarz w dłoniach. Szlochała. Adam objął ją, próbował przytulić. Otrząsnęła się, wstała. Przez chwilę przyglądała mu się. Wściekła, rozdygotana.

- Musisz zapamiętać!
- Co?!
- To wszystko! Nie wolno nam tego zapomnieć! Nigdy!

Podążyła mu dłoń, pomogła wstać. Powlekli się w górę, w stronę Harendy.

Róże zostały na miejscu kaźni. Aparat jakimś cudem wciąż wisiał mu na szyi.

Z Uniwersytetu cały czas wybiegały grupy studentów gonione, bite, katowane przez bandytów w mundurach i w cywilu. Nagle znaleźli się na przodzie takiej grupy.

Pobiegli. Adam na czele, krzyczał coś, sam nie wiedział, co. Prowadził lud na barykady. Za nim uczepiona jego dłoni Beata.

Przy pomniku Kopernika stał tłum młodzieży, dzieciaki z warszawskich liceów. Z dwóch stron: od Nowego Świata i sprzed Teatru Polskiego ruszyły na nich kolumny milicji. Dziewczynka z warkoczykami zaintonowała hymn. Jej mocny, dobrze ustawiony głos kontrastował z niemal dziecięcą posturą. Pozostali podchwycili.

Wszyscy stanęli na baczność.

*Jeszcze Polska nie zginęła...*

Adam znów podniósł do oczu aparat. Raz za razem naciskał spust migawki. Portret śpiewającej dziewczynki. Plan ogólny: milicja, ponoć obywatelska, katuje dzieci.

I znowu świat Adama rozpadł się na fragmenty, pojedyncze sceny.

*Póki my żyjemy...*

Wszyscy biegają, krzyczą, niektórzy wciąż śpiewają.

*Co nam obca przemoc...*

Milicja bije.

Zalana krwią twarz dziewczynki z warkoczykami. Jej niemy krzyk.

Adam z całych sił trzymał dłoń Beaty. Przedzierał się przez pole walki. Dostał pałką po karku, po plecach. Raz, drugi, trzeci. Nic nie czuł. Ciągnął za sobą Beatę. Dobiegli do kościoła Świętego Krzyża. Sforsowali ciężkie drzwi.

Nagła cisza. Półmrok. Spokój. Opadli na ławkę przed bocznym ołtarzem. Dopiero tutaj Adam usłyszał, jak ciężko oddycha.

15. 11

Wyszli z kina. Magda marudziła.

- E tam, jakiś głupi ten film! I do tego czarno-biały.
- A mnie się podobał! - Zaprotestował Tolo.

Jak miał mu się nie podobać, jak przez cały film trzymał Magdę za rękę. Teraz też sięgnął po jej dłoń. Szli trzymając się za ręce, jak zawsze o tym marzył. Jeśli jedno marzenie się spełniło, to dlaczego nie miałyby się spełnić to drugie, piękniejsze, odważniejsze. Szli wolno w stronę Nowego Świata.

- O czym myślisz?

Magda ścisnęła jego dłoń, jakby wyczuła o czym myśli, czego pragnie. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Gonitwa myśli. Wybrnął. Nie skłamał.

- O tobie...
- I co o mnie myślisz?
- Przecież wiesz...

Wiedziała. Uśmiechnęła się. Uśmiechnęła się tak, że aż w spodniach poczuł jej uśmiech.

- Ale może przedtem coś byśmy zjedli. Zgłodniałam.

„Przedtem”! To już nie była jakaś tam mglista obietnica, to była oczywista zapowiedź! Tolowi zdawało się, że unosi się nad ziemią. Konkretnie nad chodnikiem Krakowskiego Przedmieścia, u wylotu Trębackiej.

- Rozejść się!

Nagła komenda sprowadziła go na ziemię. Przed nimi stał milicyjny patrol. Dwóch, w hełmach, ze szturmowymi pałkami w dłoniach. Tolo rozejrzał się, ulicą biegli jacyś ludzie. Wszędzie roilo się od milicji w pełnym rynsztunku. Nie miał pojęcia, co się dzieje.

- Nie rozumiem...
- Rozejść się! - Powtórzył groźnie wyższy z funkcjonariuszy. Wyglądało na to, że nie zna więcej słów.
- Ale o co chodzi? Chcieliśmy tylko coś zjeść.
- No to, kurwa!, nie zjecie! Powiedziałem: rozejść się! - Jednak znał więcej słów niż te dwa podstawowe.
- Ale gdzie mamy się rozejść?
- Spierdalać! - Do rozmowy konstruktywnie włączył się ten niższy.
- Chodź Tolo, spierdalamy.

Magda próbowała opanować sytuację. Pociągnęła Tola za rękę, chciała wyminąć patrol, pójść dalej Krakowskim. Ulicą wciąż biegli ludzie. Głównie młodzi. Chyba studenci. Uciekali w stronę Starego Miasta.

- Gdzie kurwo leziesz?! - Wyższy zastąpił jej drogę, uniósł pałkę.

Czas gwałtownie przyspieszył. Tolo odepchnął milicjanta. Miał tylko jedną rękę, nic mu nie mógł zrobić. Niższy natychmiast zareagował na ten oczywisty zamach na władzę ludową. Wyższy dołączył. Na zmianę okładali Tola pałkami. Nie patrzyli gdzie biją, po głowie, barkach, kikutach. Magda próbowała ich powstrzymać, krzyczała.

- Ludzie! Polaka biją! Kalekę!

Nikt nie zareagował, nikt się nie zatrzymał. Milicjanci bili. Magda krzyczała.

- Skurwysyny! Bydlaki! Folksdojczery jebane! Kalekę bijecie?! Partyzanta?!

Na hasło „partyzant” milicjanci zawahali się, szturmowe pałki na chwilę zawisły w powietrzu. Magda nie czekała aż opadną, chwyciła Tola za rękę, z całych sił pociągnęła za sobą. Pobiegli. Po kilkunastu krokach Tolo zatrzymał się. Wyjął z pokrowca swoją lustrzankę, zaczął robić zdjęcia. Magda próbowała powstrzymać go, wiedział, jak to się skończy. I rzeczywiście, milicjanci natychmiast rzucili się w ich stronę. Magda i Tolo znów uciekali. Nie oglądali się za siebie, nie zauważyli nawet, że wszyscy biegną w przeciwną stronę. Dopiero przy Królewskiej zorientowali się, że pędzą w sam środek zamieszek. Nad ulicą wisiała szara chmura gryzącego dymu. Za późno już było na odwrót. Biegli przed siebie. Kaszleli. Tolo krwawił. Słalodem

omijali milicjantów szarżujących w maskach przeciwgazowych. Przy Traugutta niemal ich dopadli. Gdzieś z góry na chodnik poleciało szkło, odwróciło uwagę patrolu. Tuż obok były schody do kościoła. Ktoś miłosiernie uchylił ciężkie drzwi. Magda wpadła do środka, Tolo zatrzymał się w wejściu, robił zdjęcia póki nie skończyła się klisza. Magda musiała siłą wciągnąć go do kościoła.

Przez dłuższą chwilę stali w przedsionku, uspokajali oddechy, przyzwyczajali wzrok do półmroku. W kościele było pełno ludzi, głównie młodzież. Niemal wszyscy mieli na sobie ślady starć. Krew, siniaki, poszarpane ubrania. Tolo już kiedyś widział ludzi w takim stanie, chroniących się w świątyni w nadziei, że może Najwyższy ich osłoni. We wrześniu trzydziestego dziewiątego, w czterdziestym czwartym, po Powstaniu. Wtedy nie osłonił...

Magda wciąż dygotała. Tolo patrzył na smugi krwi na swym najlepszym garniturze. Wyjął chusteczkę, próbował je zetrzeć, tylko rozmazał. Bezradnie rozejrzał się wokół, dostrzegł naczynie z wodą. Zmoczył chusteczkę, potarł plamy. Po chwili chusteczka była cała we krwi. Zanurzył ją ponownie. Woda święcona zabarwiła się czerwienią.

- Co ty robisz?! - Magda odciągnęła go od kropielnicy.
- Chciałem tylko... - Dopiero teraz dotarło do niego, co zrobił.

Stojąca obok przysadzista kobieta w średnim wieku z wypchaną siatką na zakupy w dłoni spojrzała na niego z naganą.

- Przepraszam - bąknął Tolo. Kobieta wzruszyła ramionami.

Nagły łomot do drzwi. Kilku mężczyzn zablokowało wejście do kościoła. Kobieta roztrąciła ich, wyszła na zewnątrz, na wprost pałkarzy. Zamachnęła się siatką, cofnęli się instynktownie. Z siatki wypadła ogromna, porośnięta mięsem kość. Podniosła ją i cisnęła w atakujących. Rozpierzchli się, jakby grantem rzuciła. Uniosła ręce w geście zwycięstwa. Stała nieporuszona, samotna przeciw zastępom. Matka Polka zwycięska.

Po sromotnej porażce siły ładu i porządku musiały się przegrupować. Nie ponowiły ataku.

Kość przepadła, nie będzie obiadu. Każde zwycięstwo ma swoją cenę.

## **DWORZEC GDAŃSKI**

*07. 04. 68. Niedziela.*

Gośka od czasu ich ostatniego spotkania nie dawała znaku życia. Ona też, tak jak

Seweryn przestała przychodzić do szkoły. W klasie robiło się coraz bardziej pusto. Adam nie wiedział, co się dzieje z jego przyjaciółmi. Żadne z nich nie odbierało telefonów. Cisza. Dzisiaj były jego urodziny, nikt nie pamiętał. Tylko Ania... Nawet rodzice zapomnieli. Zniknęli gdzieś z samego rana, Adam nie miał pojęcia gdzie. Chodził po pustym mieszkaniu, nie potrafił sobie znaleźć miejsca. Postanowił pojechać do Caracasu.

Seweryn siedział przy stoliku, pił kawę, jak gdyby nigdy nic.

- Znowu się spóźniłeś. - Jego stały tekst.
- Co się dzieje?! Dlaczego się nie odzywałeś?!
- Miałem szlaban.
- Są jeszcze telefony!
- Nie ma. Wyłączyli nam tydzień temu. Ci którzy dostają bilet w jedną stronę nie mają prawa do takich zdobyczy cywilizacji. Dziw, że nam jeszcze wody nie odłączyli.
- O kurwa!
- *Choo, choo train chuggin' down the track. Gotta travel on, never comin' back  
Oh, oh got a one way ticket to the blues*

- Seweryn zanucił stary przebój Neila Sedaki. - A propos „trainu”, to zaraz jedziemy na Dworzec Gdański.

- A po co?

- Gośka dzisiaj wyjeżdża. Nie wiedziałaś?

- Nie miałem z nią kontaktu. Ona też przestała chodzić do szkoły.

- No tak, jej stary kupił córeczce nowego fiata, chciał ją przekupić, a ona olała fiata i wyjeżdża. Mam charakter dziewczyna.

- No... - Adam uciekł wzrokiem, bał się spojrzeć przyjacielowi w oczy. Na szczęście Seweryn niczego nie zauważył. - Może tam się spotkacie.

- Gdzie?

- No w Izraelu.

- Nie bardzo. Ze Szwecji trochę daleko. Tak ze trzy tysiące kilometrów.

- Jedzicie do Szwecji?! Nie do Izraela?

- Okazało się, że ojciec ma tam jakichś krewnych. Chodź, musimy się zbierać.

Poszli na Plac Narutowicza. Piętnastka czekała na końcowym przystanku, wsiedli.

Jechali w milczeniu. Zbyt wiele było do powiedzenia.

W hali Dworca Gdańskiego kłębił się tłum. Stanęli w wejściu, rozglądali się bezradnie. Nagle rozepchnął ich bezceremonialnie jakiś barczysty brodacz w rozpiętej kurtce ortalionowej. Przystanął. Krzyknął tubalnym głosem.

- Ludzie! Z którego peronu odjeżdża ten pociąg do Treblinki?

Nagła cisza. Nikogo nie rozbawił makabryczny żart. Wszyscy patrzyli na gościa z milczącym potępieniem. Nie przejął się tym. Zaczął przepychać się przez tłum. Adam i Seweryn ruszyli za nim, dotarli na peron. Tutaj ścisk był jeszcze większy. Facet rozcierał go potężnymi ramionami. Szli utorowaną przez niego ścieżką. On tymczasem dostrzegł wreszcie tego, którego szukał. Drobny, przeraźliwie chudy mężczyzna w długim, zdecydowanie zbyt obszernym płaszczu stał na skraju peronu, rozglądał się niepewnie. Brodacz podbiegł, wziął go w ramiona. Chudzielec niemal w nich zniknął.

Gośka stała tuż obok. Sama. Uśmiechnęła się na ich widok.

- Jesteście...

Stali we trójkę, wyglądali się, choć wcale nie było im do śmiechu. Rozmawiali o jakichś duperelach starannie unikając, tego, co naprawdę ważne. Ochrypty, bezpłciowy głos z megafonu zapowiedział wjazd pociągu do Wiednia. Tłum zafalował. Gośka wyjęła z kieszeni przewiązane białą wstążeczką pudełeczko, podała Adamowi. Deja vu.

- Z najlepszymi życzeniami!
- Pamiętałaś... - Adam schował prezent do kieszeni nie rozpakowując go. Domyślał się, co jest w środku.
- O tobie trudno zapomnieć...

Seweryn nic nie rozumiał. Zaczynał podejrzewać.

- Dzisiaj urodziny Adama. Złożyłaś mu życzenia? - Spytała Gośka z niewinnym uśmiechem.
- Nie wiedziałem, że jesteście tak blisko...

Gośka zaczerwieniła się, Adam wbił wzrok w ziemię. Seweryn patrzył na nich, powoli do niego docierało. Zbladł, zaczęły drżeć mu dłonie. Pociąg zaczął wjeżdżać na peron. Żadne z nich nie zwróciło na niego uwagi.

- Wy... wy... razem... Gośka...? - Jąkał się, z trudem wykrztuszał słowa.

Żadne z nich nie odpowiedziało. Pociąg zatrzymał się. Tłum zaczął szturmować wejścia. Oni wciąż stali. Seweryn otrząsnął się, spojrzął na Adama, plunął mu pod



nogi. Odwrócił się, zaczął się przeciskać przez tłum w przeciwnym niż wszyscy kierunku. Jakiś krępy półpijany facet w kaszkiecie, potrącił go, niemal przewrócił. Seweryn nawet go nie zauważył. Czerwona mgła przed oczyma, ściśnięte do bólu gardło.

- Specjalnie to zrobiłaś! - wykrzyczał Adam.

Gośka wzruszyła ramionami.

- Dlaczego?!

Znów nie odpowiedziała.

- Wykorzystałaś mnie!
- Nie przesadzaj. Specjalnie cię nie zabołało.
- Powiedz!
- Naprawdę nie rozumiesz?!
- Nie!
- Musiałam to zrobić. Dla niego.
- Nie pierdol Gośka! Proszę!
- Pewnie już nigdy się się spotkamy. Ani z tobą, ani z nim. Nie chciałam, żeby tęsknił za mną, wyobrażał sobie Bóg wie co. Uwolniłeś mnie od tej kretyńskiej cnoty, a przy okazji Seweryna ode mnie. Dobrze się spisałeś. Dziękuję.

Adam zmełł w ustach przekleństwo, odszedł. Dopiero gdy zniknął w tłumie Gośka zaczęła płakać. Nikt nie zwrócił uwagi na jej łzy, na peronie niemal wszyscy płakali. Facet w kaszkiecie biegł wzdłuż pociągu, zaglądał we wszystkie okna. W jednym z nich pojawił się chudzielec w zbyt obszernym płaszczu. Facet w kaszkiecie rozjaśnił się na jego widok, ryknął na cały peron.

- Arnold! Nie jedź! Ja cię przechowam!

Stojący przy oknie brodacz roześmiał się. Tylko on zrozumiał ponury żart. Facet w kaszkiecie wygrzebał z kieszeni kurtki napoczętą butelkę wódki, podał brodaczowi. Wypili za zdrowie Arnolda. Arnold nie pił.

Adam obejrzał się, poszukał wzrokiem Gośki, już jej nie znalazł. Wydało mu się, że gdzieś na końcu peronu mignęli mu jego rodzice. Być może oni też odprowadzali znajomych. Skulił się, schował się w sobie. Wybiegł z dworca.